

Andrzej Werblan

KRYZYSY POLITYCZNE W PRL (PARĘ UWAG O METODZIE)

Krystyna Kersten zajęła się w swoim studium głównie jednym aspektem kryzysów, jakie miały miejsce w PRL, mianowicie masowymi ruchami i protestami, które były tych kryzysów najwyrazistszym symptomem. Zapewne z tego powodu poza jej uwagą znalazł się kryzys 1948 r., któremu nie towarzyszyły ruchy masowe, choć jego konsekwencje okazały się doniosłe i dotkliwe. Autorka przedstawiła bardzo staranny i w miarę kompletny przegląd stanowisk i poglądów historiografii polskiej z ostatniego dziesięciolecia na temat owych kryzysów, czy też „polskich miesięcy”. Pozwala to na sformułowanie kilku uwag odnoszących nie tyle do samego studium Krystyny Kersten, ile do charakterystycznych jednostronności, jakie generalnie cechują naszą współczesną historiografię.

Sprawa pierwsza to polocentryzm. Prowadzi on do niedoceniań wpływu na politykę i sytuację polską wydarzeń i tendencji szerszych, europejskich, czy wręcz globalnych. I odpowiednio powoduje przecenianie znaczenia, a także szans, jakie otwierały przed dążeniami i przedsięwzięciami zarówno władz PRL, jak i ruchów opozycyjnych. Polocentryczne skrzywienie perspektywy nie jest w tym przypadku wyjątkowe, cechuje ono znaczną część historiografii polskiej od dwóch stuleci. W odniesieniu do spraw rozpatrywanych w tej dyskusji polocentryzm utrudnia wielce rozumienie istoty, a zatem źródeł siły i słabości systemu zwanego umownie i w uproszczeniu komunistycznym, czyli wywodzącego się z radykalnej interpretacji ideologicznej marksowskiego socjalizmu. System ten oglądany z perspektywy nadwiślańskiej może się jawić „wybrykiem historii” (Andrzej Wielowiejski) lub zwykłym produktem przemocy i to głównie obcej. Tymczasem spojrzenie szersze domaga się głębszej analizy. System bowiem, który ogarnął w pewnym okresie ponad jedną trzecią globu i blisko połowę ludzkości, zwyciężył w kilku autentycznych rewolucjach (rosyjskiej, chińskiej, wietnamskiej, jugosłowiańskiej, kubańskiej) musiał mieć głębokie korzenie społeczne i masowe poparcie, a zatem w pewien sposób, częściowo utopijny i mylny, odpowiadał na rzeczywiste proble-

my i potrzeby wielkich zbiorowości ludzkich. Inaczej nie uzyskalby masowego zasięgu, nie odniosłby spektakularnych sukcesów i nie przetrwałby połowy wieku (w Rosji 70 lat). Zresztą na obszarach zamieszkałych przez ponad miliard ludzi utrzymuje się do dziś, choć w bardzo już zmodyfikowanej formie. Jak wszystkie biorące początek z rewolucji socjalnej systemy tak i ten wykazywał silne cechy ekspansywne i misyjne, stąd na obrzeżach rozprzestrzeniał się poprzez podboje i „nawracanie” siłą. Ponadto, jak większość takich z rewolucji poczętych porządków, ewoluował w kierunku tyranii oraz miał dość krótkotrwały żywot. Upadł nie tyle pod ciosami przeciwników, ile wskutek wyczerpania się wewnętrznych źródeł dynamiki. Inaczej mówiąc, stosunkowo szybko spełnił wszystko, co mógł w zakresie przekształceń społecznych i później już tylko pasożytował, utrzymując się siłą inercji struktur biurokratycznych. Zdaje się, że nasz dzisiejszy ogląd tego systemu pozostaje głównie pod wpływem doświadczenia owego pasożytwania i perspektywy peryferii.

Jeśli idzie o Polskę, to od drugiej połowy lat trzydziestych jej sytuacja była w znacznym stopniu zależna od układu sił między mocarstwami. Z wielką precyzją ten stan rzeczy charakteryzował w kilku wypowiedziach Jan Karski. Dla omawianych tutaj kryzysów polskich zależność, o której mowa miała znaczenie zasadnicze, nie była tłem ani kontekstem, lecz decydowała o szansach i konsekwencjach. Patrząc z tego punktu widzenia wydaje się, że szanse sukcesu i polepszenia sytuacji polskiej w wyniku dążeń demokratycznych i wolnościowych istniały tylko w 1956 r., a następnie w latach 1988–1989. W pierwszym przypadku sprzyjające warunki stworzyła chruszczowowska destalinizacja w ZSRR i rywalizacja chińsko-radziecka, w drugim przegrana ZSRR w „zimnej wojnie” i przedsięwzięty przez Gorbaczowa odwrót z tzw. imperium zewnętrznego. Pozostałe zrywy opozycyjne nie miały szans powodzenia, gdyż ich sukces musiałby prowadzić do zmiany układu sił nie tylko w Polsce, lecz również wokół niej w warunkach, kiedy zmiana taka była niedojrzała i przez to nietolerowalna. Była to zatem sytuacja, w której rządzący nie tylko nie musieli, lecz również nie mogli iść na poważniejsze ustępstwa, byli niejako skazani na pacyfikację opozycji w ten lub inny sposób. Konsekwencją było zatem pogorszenie warunków „wolnościowych” w kraju, zwiększenie represyjności, a także zależności od ZSRR. Nasuwa się tu analogia z powstaniem narodowymi. Pozbawione szans zwycięstwa musiały przynieść narodowi pogorszenie jego położenia. Zwolennicy romantycznej wersji patriotyzmu bronią tych zrywów argumentem o ich znaczeniu dla podtrzymania „ducha” i budowania podstaw przyszłego zwycięstwa. Argumenty przeciwne, z pozycji „realizmu” są znane zarówno z pism ideologów Narodowej Demokracji (Jan Ludwik Popławski, Roman Dmowski), a ostatnio zostały powtórzone w odniesieniu do dziejów opozycji w PRL przez Andrzeja Walickiego (*Trzy patriotyzmy*).

Do zrywów pozbawionych szans powodzenia zaliczyłbym ruch studentów i inteligencji w 1968 r., a częściowo również „Solidarności” w latach 1980–1981.

W tym drugim przypadku tylko „po części”, gdyż przynajmniej teoretycznie istniały wówczas pewne szanse umiarkowanego powodzenia. Wymagały tylko zdolności poprzestania na małym i czekania. Szerzej ten pogląd przedstawiłem w referacie wygłoszonym na konferencji w Jachrance (listopad 1997 r.), a także na łamach „Dziś” (nr 1 z 1998 r.).

Inaczej rysowały się szanse powodzenia „rewolt” robotniczych o charakterze głównie rewindykacyjnym. Uczestnicy tych wystąpień z reguły sporo uzyskiwali nawet wówczas, gdy sam ruch został brutalnie spacyfikowany. Wystąpienia te bowiem wystawiały na natychmiastową próbę wewnętrznych struktur ustrojowych, ani tym bardziej szerszego, zewnętrznego układu sił. Ideologicznie zresztą odwoływały się do „oficjalnej” utopii, domagały się spełniania jej obietnic. Reżim miał sporo rezerw, aby takie postulaty częściowo uwzględnić. Warto zwrócić uwagę na to, że nawet na dnie stalinizmu, strajki w kopalniach Zagłębia przyniosły pewne pozytywne zmiany warunków pracy górniczej. Sukces strajków i demonstracji grudniowych i styczniowych 1970/1971 był ewidentny. W istocie strajki te zyskały poparcie z najmniej oczekiwanej strony, a mianowicie ze strony Leonida Breżniewa. To samo zresztą dotyczyło oporu robotniczego wobec czerwcowej próby zmiany cen w 1976 r.

Sprawa druga – obóz rządzący. Lektura najnowszych publikacji o powojennych dziejach Polski sprawia wrażenie, że znaczna część autorów podświadomie nadal wyznaje marksowską (ściślej mówiąc przypisywaną Marksowi) tezę o decydującej roli mas ludowych w historii. Rządzący w tym ujęciu, jawią się jako marionetki, popychane przez ruchy masowe lub potencje zewnętrzne i motywowane głównie niskimi pobudkami, względem na karierę, korzyści i przywileje, żądę władzy itp. Ta idiosynkrazja bierze się częściowo z głębokiej niechęci do dyktatury, ze swoistego „patriotyzmu” demokracji, ale w konsekwencji prowadzi do zniekształcenia obrazu badanej rzeczywistości.

Wracając do obozu rządzącego w PRL nasuwają się trzy uwagi. Pierwsza dotyczy oparcia w społeczeństwie. Kwestia ta zasługuje na poważniejsze niż dotychczas badania. Wiele faktów pozwala przypuszczać, że oparcie to było mocniejsze niż skłonni są obecnie przyznawać historycy. System realnosocjalistyczny miał dość znaczne wewnętrzne źródła żywotności. Różnie to wyglądało w różnych krajach. Tam, gdzie system ten powstał z rzeczywistej rewolucji, oparcie społeczne było większe i decydujące. Zerwanie Jugosławii z ZSRR nie spowodowało upadku systemu socjalistycznego, utrzymał się on „własnym sumptem” przez kilka dziesięcioleci. W Chinach utrzymuje się do dziś.

W Polsce, jeśli zakres oparcia społecznego partii komunistycznej i jej sojuszników mierzyć w 1946 r. wynikami referendum, tak jak je zanotował Bierut, a w 1989 r. wynikami czerwcowych wyborów do senatu, to można szacować je na około 25%. Między tymi datami baza społeczna systemu była większa, choć możliwa do zmierzenia jedynie na podstawie przesłanek pośrednich. Sądzę, że były

okresy, kiedy reżim miał za sobą większość, np. bezpośrednio po Październiku lub w pierwszych latach gierkowskich. Mimo policyjnego charakteru państwa w tych czasach prawie do zera spadała liczba więźniów politycznych, co okazało się nieosiągalne np. w całym okresie międzywojennym.

Odrębną kwestię stanowią mechanizmy pozyskiwania bazy przez obóz rządzący, a także powody jej tracenia. Wyjaśnianie tego głównie dyktatorsko-policyjnym systemem rządzenia oraz geopolityką byłoby wielkim uproszczeniem. Przemoc może jedynie przytłumić opór. Geopolityka może już odegrać rolę bardziej konstruktywną: skłania do myślenia w kategoriach Realpolitik. Zarówno jedno, jak i drugie miało miejsce, ale niebagatelną rolę odegrały przedsięwzięcia obozu rządzącego, rozwiązujące problemy ważne dla narodu. Klęska podziemnego ruchu oporu przeciw komunizmowi, który w pierwszych latach po wojnie cieszył się znaczną sympatią społeczną (jeśliby wnioskować na podstawie wyników referendum w 1946 r., to wolne wybory z udziałem wszystkich istniejących w tym czasie nurtów politycznych nie wygrałoby PSL, lecz antykomunistyczne i jednocześnie antimikołajczykowskie partie obozu londyńskiego) była spowodowana nie tylko terrorem, a może i nie głównie terrorem, lecz również tym, że w dylemacie między państwem własnym, choć nie w pełni suwerennym i rządzonym przez komunistyczną mniejszość, a brakiem własnego państwa w ogóle podziemie *de facto* optowało na rzecz zasady wszystko albo nic, co w ówczesnych warunkach nieuchronnie oznaczało właśnie „nic”. Już Dmowski zwracał uwagę na to, że takiej opcji naród nie jest w stanie zaakceptować. Tym bardziej że władza komunistyczna w Polsce była w istocie rezultatem transakcji „wiązanej”, swoistą ceną za nowy kształt terytorialny kraju. Na wpływ tego faktu na świadomość społeczną zwrócił uwagę Stanisław Stomma w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”. Do tego doszły takie przedsięwzięcia, jak likwidacja różnic stanowych i socjalnych, urbanizacja, rewolucja kulturalna. Można je dziś bagatelizować lub deprecjonować, ale jest to zabieg ahistoryczny. Wówczas były dość szeroko postrzegane, jako przemiany autentycznie wartościowe i zyskiwały poparcie zarówno wśród dość licznych beneficjentów, jak i wśród znacznej części młodzieży. Wyjaśniać to koniunkturalizmem lub głupotą oznaczałoby zabieg raczej rytualny niż poznawczy, coś w rodzaju batożenia morza przez Dariusza.

Znamienny pozostaje fakt, że do lat siedemdziesiątych ideologia masowych ruchów opozycyjnych wobec reżimu nie nawiązywała do programu ruchu oporu z pierwszych lat po wojnie, lecz domagała się realizacji, socjalistycznej obietnicy, którą władze zadeklarowały i której w mniemaniu powszechnym sprzeniewierzyły się. Dopiero lata osiemdziesiąte przyniosły zmianę ideologicznego wyrazu ruchów protestacyjnych, podjęły one wątek nie tyle modyfikacji, ile zmiany ustroju, odżyły też postulaty restauracyjne *sensu stricto*. Jednakże nawet wówczas w programach robotniczej „Solidarności” żywe pozostało echo utopii socjalistycznej, tyle że w narodowym i religijnym przybraniu.

Główna część transakcji jałtańskich (terytorialna) nie została nigdy zakwestionowana, chyba że pośrednio.

Drugim problemem dotyczącym obozu rządzącego – to postrzeganie jego motywacji i dążeń. Gdy traktujemy o historii dawniejszej, zwykle zgodnie z wymogami warsztatu unikamy przypisywania nawet bardzo niesympatycznym reżimom wyłącznie niegodziwych intencji, nie bez racji szukamy odniesienia do interesów szerszych, publicznych, plemiennych, narodowych, państwowych. Rozumiemy bowiem, że nawet najgorsi tyrani i okrutnicy, tacy jak Czyngis-chan, Iwan IV czy Piotr I lub organizatorzy wojennego ludobójstwa na wielką skalę, jak Napoleon I, kierowali się obok własnej ambicji także określonym poczuciem misji i interesu swojego państwa i narodu. Mogli – często to się zdarzało – błędnie interes ten odczytywać, ponosili zatem klęski, ale przypadki czystego i „bezinteresownego” egoizmu zdarzały się w historii raczej rzadko i nie miały szans na uzyskanie niezbędnego dla realizacji zaplecza społecznego. Tymczasem w odniesieniu do historii najnowszej przeważa zdumiewająca trywializacja motywacji obozów i kierunków politycznych, do których badacze żywią antypatię.

Patrząc na obóz rządzący w PRL z punktu widzenia motywacji, można hipotetycznie wyodrębnić kilka postaw. Najmniej liczną, ale w początkowym okresie najbardziej wpływową grupę ideowych komunistów, „true believers”, utożsamiających dobro narodu z realizacją kolektywistycznego i etatystycznego modelu socjalizmu. Znacznie liczniej byli reprezentowani realiści socjalistyczni, akceptujący uwarunkowania pojałtańskiej rzeczywistości i gotowi je wykorzystać dla realizacji przeobrażeń społecznych i kulturowych, popularnych po II wojnie światowej na lewicy europejskiej. Najdobitniej program tego nurtu sformułował Julian Hochfeld w znanej rozmowie z gronem swoich młodych przyjaciół (skupionych wokół Jana Strzeleckiego) 18 września 1946 r. Obóz rządowy wchłaniał również liczne grupy patriotycznych realistów politycznych, których pociągały konkretne przedsięwzięcia cywilizacyjne lub po prostu świadomość, że PRL jest w danych warunkach jedynym możliwym państwem polskim i trzeba starać się o nadanie mu możliwie korzystnego kształtu. Oblicza i rodowody tych „realistów” w obozie władzy zmieniały się. Początkowo była to głównie inteligencja techniczna, w pierwszych latach po wojnie również pewna grupa wyższych dowódców wojskowych, później także część inteligencji humanistycznej (Tadeusz Manteuffel, Tadeusz Kotarbiński, Stefan Kieniewicz, Julian Bardach, Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz – aby wymienić przykłady). Władze nieraz traktowały tych sojuszników podejrzliwie, czasem nawet okrutnie. Po 1956 r. akcesy tego typu stają się częstsze, choć zarysowuje się również tendencja do wycofywania się. Pojawia się też nowa pokoleniowo kategoria uczestników struktur władzy i zarządzania, której motywacje Adam Michnik nazwał trafnie patriotyzmem ludzi przekonanych, że dla ładu pojałtańskiego nie rysuje się realna alternatywa. Zapewne w latach siedemdziesiątych jest to znacząca, jeśli nie dominująca forma-

cja aktywnych uczestników życia publicznego w partii i stronnictwach sojusznicych oraz w aparacie zarządzającym państwem i jego gospodarką. Musi zatem istnieć szersze zaplecze społeczne, które takie postawy wyłania i akceptuje. Oczywiście są także tłumy koniunkturalistów, ale to normalna cecha życia publicznego i naiwna byłaby nadzieja, że tym wytrychem da się zastąpić precyzyjne narzędzia analizy postaw i motywacji.

I ostatnia uwaga: zależność obozu rządzącego od protektora czyli od ZSRR. Rzeczywiście brakuje wystarczających źródeł do w miarę kompletnej charakterystyki tej zależności. Kilka hipotez można wszak sformułować bez większego ryzyka. Przede wszystkim, zależność ta podlegała zmianom. Największa była na początku, bezpośrednio po wojnie w latach 1944–1946, potem w latach 1948–1953. Następnie po 1956 r. następuje szybka i znaczna autonomizacja władz PZPR i PRL od KPZR i ZSRR. Dla skrótu myślowego i dla plastycznego zilustrowania problemu posłużyłbym się następującą analogią historyczną (świadom ryzyka takich analogii): w latach 1944–1946 i 1948–1953 zależność PRL od ZSRR przypominała zakresem ubezwłasnowolnienia Księstwo Warszawskie lub Królestwo Polskie przed powstaniem listopadowym. Później sytuacja była bliższa tej, jaką znamy z czasów saskich po Sejmie Niemym i za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Zawsze spory zakres decyzji pozostawał w rękach władz PRL. Po 1956 r. zależność sprowadzała się do generalistów ustrojowych, uczestnictwa w bloku warszawskim, do w miarę ujednoczonej polityki zagranicznej i w większej mierze militarnej. Pozostał wpływ „protektora” na rozstrzygnięcia osobowe na samym szczycie hierarchii partyjno-państwowej. W tych ramach polityka była prowadzona na „własny” rachunek i często wbrew opiniom Kremla. Przykłady: podwyżki cen w 1970 i 1976 r., wizyta papieża w 1979 r. Oczywiście podział świata na bloki robił swoje i np. w polityce gospodarczej Polska była skazana na duży zakres wymiany i kooperacji z rynkiem wschodnim.

Więzy zależności najdokładnej postrzegano i najlepiej zdawano sobie z nich sprawę na szczytach hierarchii partyjnej i rządowej. Od 1956 r. zależność w ogniwach niższych była słabo dostrzegalna. Stąd też właśnie na szczytach hierarchii podejmowano – często dość dyskretnie – wysiłki w kierunku poszerzenia zakresu niezależności. Każda, nawet najbardziej zależna i biurokratyczna władza w odrębnym państwie jest z natury rzeczy zainteresowana poszerzaniem niezależności. Historia dawniejsza i świeższej daty regułę tę potwierdza. Przed kilku laty byliśmy świadkami skwapliwości, z jaką namiestnicy Kremla w radzieckich republikach związkowych (Leonid Krawczuk, Nursułtan Nazarbajew, Gajdar Alijew itp.) skorzystali z puczu sierpniowego, aby uniezależnić swoje republiki. Z większą jeszcze skwapliwością dążenia takie realizowano w PRL, choć metody owe go uniezależniania się były różne i istniała stale świadomość granic, do jakich można się było posunąć. Gomułka rozdarty sprzecznością między pragmatycznym zmysłem politycznym a wiarą w starokomunistyczną utopię otwarcie sprze-

ciwiał się ingerencji radzieckiej w wewnętrzne sprawy, a jednocześnie – niejako z własnej inicjatywy – stawał w obronie interesów „międzynarodowego komunizmu” i mentorsko pouczał swoich radzieckich partnerów, jak tym interesom powinni służyć. Nie przysparzało mu to na Kremlu przyjaciół i przyspieszyło jego upadek. Natomiast Edward Gierek, reprezentant innej, bardziej aideologicznej formacji uprawiał z Kremlem grę dwulicową, w słowach demonstrował uległość, na jaką Gomułka nigdy by się nie zdobył, chętnie akceptował nowinki liturgii ideologicznej w rodzaju „rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego”, nie żałował Breżniewowi błyskotek orderowych, za to w wielu istotnych dziedzinach polityki postępował dokładnie odwrotnie, niż „ościenni” by sobie życzyli. Realizował gospodarcze i turystyczne otwarcie na Zachód, wyraził zgodę na emigrację do RFN Niemców i przy okazji tysięcy Polaków, znosił dostawy obowiązkowe i wprowadzał wiele ułatwień dla gospodarki chłopskiej, poprawił radykalnie stosunki z Kościołem oraz zastosował liberalniejszy niż w jakimkolwiek innym kraju „obozu” kurs wobec opozycji. Do tych uwag należałoby dodać co najmniej jedno: każdy kryzys stwarzał niebezpieczeństwo dla osiągniętego już zakresu niezależności i autonomii, gdyż wywoływał zaniepokojenie Kremla oraz aktywizował wysiłki zmierzające do poddania kontroli polityki i stosunków wewnętrznych. Czynniki te wypadają też mieć na uwadze przy ocenie polityki i zachowań władz PRL, a także klasy politycznej oraz szerszych środowisk stanowiących oparcie dla tych władz w czasie kryzysów.